

Piotr Zacccone

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

— A więc porozmawiajmy, albo właściwie ułożmy warunki.

— Warunki?

— A jakże pan myślał? Obrachowałem już wszystko. Wiem, że staliście się teraz posiadaczami trzech milionów i jestem przekonany, że nie macie panowie zamiaru zachować dla siebie tak kolosalnej sumy.

— Czy ty drwisz z nas, Paskalu?

— Bynajmniej, rozumiem tylko.

— Zadasz więc podziału?

— Z podziału przypadłoby dla mnie milion franków, a to jest za wiele. Wymagania mam skromne i zadowolę się mniejszą sumą, a poza tym nie narażam się tak jak panowie w tej chwili i nie byłoby słusznie, abym na równi z wami zbierał korzyści z tego, co wyście panowie uczynili.

— Czego więc żadasz? — zapytał z zniecierpliwieniem starszy z braci.

— Czego żądam, zaraz to objaśnię...

Ale Paskal nie mógł dokończyć. Przerazony, blade, patrzył ku drzwiom sypialnego pokoju, nie wierząc własnym oczom. Chwiejnym krokiem, czepiając się drzwi i mebli, szedł ku nim starzec, wlokąc za sobą prześcieradło. Rysy jego twarzy były zmienione, pobladłe usta nie były w stanie wymówić słowa, ale oczy zdawały się zachować cały swój blask i energię.

Zajęci dokonaniem zbrodni, a następnie rozmową, bracia nie zwracali uwagi od dłuższego czasu na to, co się działo w przyległym pokoju, przekonani zresztą, że chory już zakończył życie.

Ale teraz na widok tego człowieka, który jak widmo stał przed nimi, wyciągając gróznym ruchem kościstą, wychudłą rękę, jakgdyby oskarżał ich i przeklinał, strach śmiertelny wsierżnął nimi, pozbawiając przytomności umysłu.

Instynktownie cofnęli się ku drzwiom, prowadzącym na korytarz.

Nieszczęśliwy starzec dojrzał wkrótce ciało, leżące bez życia na dywanie. Nadludzkiem wysiłkiem przycołgał się do niego i przyklęknął, wsierżnąwszy spazmatycznym łkaniem.

— Zamordowany! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem. — Zamordowany! przez tych nędzników! A przecież uczyniłem z nich bogatych ludzi. Nie mieli litości ani nad ojcem, ani nad synem. Bądźcie przeklęci! Niech sprawiedliwość boska i ludzka was dosięgnie! Naprawdę się przed mią ukrywać będziecie. I na was przyjdzie godzina ostatecznego porachunku. Biedne dziecko! Przybywał tu szczęśliwy po przebaczeniu moje i błogosławieństwo, a znalazł śmierć okrutną. Ah! Podli! Nikczemni zbrodniarze! Strzeżcie się sprawiedliwości!

Powstał z klęczek i wyciągnął ręce w stronę morderców, chcąc ostatecznie przekleństwo rzucić na ich głowy, ale siły opuściły go nagle, głos zamarł w piersiach i wydawszy okrzyk stłumiony, osunął się ciężko na podłogę, uderzając głową o fotel.

Upadek ten jakgdyby oprzytomnił braci. Starszy podskoczył ku zwłokom, wołając na służącego.

— No, dalej! Na cóż czekać będziemy! Czy chcecie żeby nas ranek zastał w towarzystwie tych dwóch trupów, leżących tutaj? Trzeba go zanieść na łóżko, a tamtego ukryć gdzieś tymczasem. No, dalej, bierzmy się do roboty!

Ułożywszy starca w sypialnym pokoju, powrócili bezzwłocznie do zwłok syna, które wynieśli do małego saloniku, leżącego po drugiej stronie korytarza. W kwadrans później nie pozostało najmniejszego śladu z tragicznej sceny, która się tu rozegrała. Podłoga została starannie umyta, meble poustawiane we wzorowym porządku i cisza znów zaległa całą willę.

Skupieni w jednym rogu pokoju dwaj bracia i służący szepotali gorączkowo, omawiając dalsze plany działania i podziału majątku po niezżyjącym starcu.

Tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli, że ranek już nadchodził powoli. Wicher nocny rozprószył ciężkie, ołowiane chmury, niebo zajaśniało i wkrótce słońce rzuciło pierwsze swoje

promienie, złocąc szczyty drzew, szumiących lekko w parku.

Dzień, choć zimny, zapowiadał się radosny i słoneczny.

I nagle pośród tego przebudzenia natury, okazującej się w całej swojej świeżości i przepychu, wzbił się dźwięczny śpiew dziewczęcy, mieszając się z donośnym świergotaniem ptaków, ukrytych w gąszczach.

Głos ten podzielał w dziwny sposób na obydwu braci, którzy natychmiast przerwali rozmowę, prowadzoną ze służącym.

— Któż to śpiewa? — zapytał niespokojnie młodszy. — Ktoś się znajduje w ogrodzie!

— To dziecko — odpowiedział niedbale Paskal.

— Skąd ono się tu wzięło?

— To siostrzenica moja — objaśnił służący odpowiadając za nią.

— Dziecko takie zdradzić nas może.

— Kiedy odpowiadam za nią — powtórzył żywo Paskal. — A zresztą uważać na nią będę.

— I dobrze uczynisz — rzekł starszy brat ostro — jeżeli ci chodzi o twoje i jej życie!

## Lekarz umarłych.

Okolo południa Paskal, z polecenia braci, udał się do władz, oznajmiając śmierć starca, zamieszkującego willę.

Mogli teraz spokojnie oczekiwać nadejścia koniecznych formalności i oględzin lekarza okręgowego.

Pokój, w którym leżały zwłoki, urządzone był stosownie do okoliczności. Pospuszczano wszystkie żaluzje i firanki, tak, iż tylko mdłe światło wpadało z zewnątrz. Jedna tylko świeca paliła się w kandelabrze na kominku i od chwiejnego jej płomienia długie, fantastyczne cienie drżały po ścianach i podłodze.

Na szerokim łóżku leżały zwłoki, przykryte białym prześcieradłem, a na stoliku nocnym stała szklanka z wodą święconą, w której zieleń się gałązka bukszpanu.

Dotkliwie zimno i cisza głęboka ogarniała ten pokój żałobny.

Okolo godziny drugiej zadzwoniono do bramy ogrodowej. Podczas kiedy służący pobiegł otworzyć, obydwaj bracia pospieszyli uklęknąć u stóp łóżka, w postawie mającej świadczyć o wielkiej ich bolesti i zgnębieniu. Jeden z nich nawet wyjął chustkę z kieszeni i zakrył do połowy twarz, na której nie było można nic innego wyczytać, nad zimną obojętnością i przymus niecierpliwy.

Po chwili wszedł do pokoju starszy mężczyzna czarno ubrany.

Był to lekarz okręgowy, mający poświadczyć akt zejścia zmarłego.

— Oto są zwłoki — wyrzekł Paskal, wskazując zwłoki.

Lekarz podeszedł, skłoniwszy się w milczeniu przed braćmi, pogrążonymi w modlitwie.

Odrzucił prześcieradło, pokrywające ciało starca, umiół lekko powieki, zbadał puls i przyłożył dłoń do ust, białego maleńkie lustro.

Poczem usiadł przy biurku, które znajdowało się w pokoju i zażądał papieru i atramentu.

— Kto jest najbliższym krewnym zmarłego? — zapytał, kiedy mu podano żądane przedmioty.

— My jesteśmy najbliższymi krewnymi — odpowiedział starszy z braci, powstając i siadając obok lekarza.

— Pan jest jego synem?

— Niestety nie. Nasz biedny wuj nie miał tej radości, aby móżdżek uściskać przed śmiercią synów swoich. Zniknęli od lat wielu i wszelki ślad po nich zaginął.

— Więc panowie jesteście jego siostrzeńcami? — badał dalej lekarz.

— Tak, proszę pana.

— Na jaką chorobę umarł wuj panów?

— Na chorobę bardzo niebezpieczną w tym wieku, na zapalenie płuc.

— Kto był jego lekarzem domowym?

Brat młodszy, który również powstał i podeszedł do rozmawiających, wymienił jakieś nazwisko.

Doktor spisał wszystkie otrzymane odpowiedzi, poczem raz jeszcze przystąpił do oględzin zwłok.

— Członki zdradzają jakieś konwulsyjne naprężenie — wyrzekł po chwili baczniejszej obserwacji — zęby zaciśnięte i usta wykrzywione skurczem.

Mówiąc to lekarz równocześnie odkrył czoło

zmarłego, przykryte fularową chustką. Znaczyła je duża, ciemna rana, spowodowana ciężkim uderzeniem o ostry kant fotelu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ze zdziwieniem lekarz — Skąd ta rana na czole?

Nieoczekiwane to zapytanie odbiło się śmiertelnym przerażeniem na twarzach braci. Spojrzeli na siebie w milczeniu, niewiedząc, jaką dać odpowiedź. Nawet niewzruszony Paskal zadrdzał w głębi duszy, czując teraz wyraźnie, że i on wmieszany może być jako współnik do zbrodni popełnionej na synu zmarłego hrabiego.

Ale z tych trzech ludzi, dręczonych teraz temi samymi obawami oprzytomniał najszybciej starszy siostrzeniec. Przez chwilę walczył zawzięcie ze wzruszeniem tamującym mu oddech piersi, ale w końcu zwrócił na lekarza pewne i śmiałe spojrzenie.

— Nasz biedny wuj zaczął głosem poważnym — miał koniec bardzo ciężki. Przez piętnaście dni czuwaliśmy z bratem przy jego łóżku. Jednej nocy zwalczeni zmęczeniem i bezsennością, spoczęliśmy trochę w przyległym pokoju, pozostawiając wujka na opiece służącego. Ale na nieszczęście gorączka silna objęła chorego, który nieprzytomny zaczął się wyrwać z łóżka. Wystraszony służący przybiegł nas obudzić, ale w czasie tej krótkiej chwili wuj wyskoczył z łóżka z siłą, którejśmy się po jego osłabieniu nie spodziewali, lecz uszedłszy zaledwie kilka kroków, upadł ciężko na podłogę i w ten sposób zadał sobie ranę, którą pan widzi.

Wyjaśnienie zgodne zresztą z rzeczywistością wydało się zupełnie naturalne lekarzowi. Jednakże w akcie stwierdzającym śmierć starego hrabiego uczynił wzmiankę, że przyspieszoną została nagłym wypadkiem. Następnie włożył akt do koperty, zapieczętował starannie i wręczył ją starszemu z braci z poleceniem odesłania jej natychmiast do urzędu gminnego.

Reszta dnia zbiegła mieszkańcom willi w gorączkowym oczekiwaniu. Obecność zwłok drugiej ofiary, ukrytych w saloniku, wzbudzała niepokój morderców, ciężąc ponuro nad ich myślami. Z upragnieniem czekali nocy, by je wynieść i zakopać w bezpiecznym miejscu.

## Nareszcie chwila stosowna nadeszła

Pogoda stała się znowu niepewna. Ciepły, południowy wiatr pędził ciemne chmury po niebie i deszcz gwałtowny spadał w pewnych odstępach czasu. Księżyc wychodził z za chmur, ołoczony rdzawą poświatą, rzucając na park rozciągający się pod oknami willi, matowo-srebrne światło — to znowu krył się szybko, szarym cieniem pokrywając ziemię.

Okolo godziny dziewiętej wieczorem, bracia zawezwali do gabinetu służącego. Otrzymał on rozkaz sprowadzenia bezzwłocznie przed furtkę ogrodową powozu krytego, który zamówiony już wcześniej przez nich, oczekiwał o parę set kroków od willi. Gdy to już załatwionem zostało, starszy z braci wyłożył swój zamiar, tyżący się usunięcia zwłok młodego człowieka.

— Musimy załatwić to w ten sposób — wyrzekł twardym, pewnym głosem — aby zwłok nikt odkryć nie mógł. Gdyby to nastąpiło kiedykolwiek, wiedziano by natychmiast, że nie zginął on zwykłą śmiercią i identyczność jego łatwo skonstatowanaby została, albo przez jego przyjaciół, albo przez ludzi, u których mieszkał, zanim tu przybył. W takim wypadku kogóż oskarżono by o popełnienie zbrodni? Tych przede wszystkim, którzy na śmierci tego człowieka skorzystać mogli, a więc nas.

Na tę logiczną uwagę młodszy brat pokiwał głową.

— To trudno, mój kochany! Teraz lękasz się, nieprawdaż? Wiedziałem doskonale co do mnie, zabierając się do tej sprawy, że jeżeli się posiada dosyć zręczności i ostrożności, można sobie pozwolić na zaryzykowanie czegoś podobnego. Jeżeli ciało kuzyna naszego odnalezionem nie zostanie, nikt nie pomyśli o tem, że on już nie żyje. Będą przypuszczać, że wyjechał do Indyi lub gdziekolwiek indziej. Cóż wiecie co postanowiłem uczynić, aby nas uchronić od tej ewentualności?

— Mów, mów! — zawołał brat młodszy gorączkowo.

— A więc pomyślałem o zamianie.

— Nie rozumiem cię!

— To znaczy, zamiast pogrzebać jutro ojca...

— Co, co ty mówisz?!

— Pogrzebiemy syna.

— Ale w jaki sposób to uczynić?